



IOANA
PÂRVULESCU

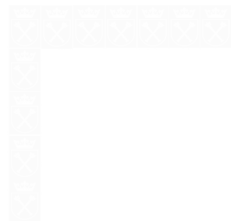
Życie
zaczyna
się
w piątek

WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO



SPRITA Z ŻURAWIEM

Życie
zaczyna
się
w piątek





IOANA
PÂRVULESCU

Życie
zaczyna
się
w piątek

Tłumaczenie

Karolina Brykner
Tomasz Klimkowski

WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

Seria z Żurawiem

Projekt okładki

Małgorzata Flis

Autorka: Ioana Pârvulescu

Tytuł oryginału: *Viața începe vineri*

© Humanitas Fiction, 2009

© Copyright for Polish Translation and Edition by Wydawnictwo
Uniwersytetu Jagiellońskiego
Wydanie I, Kraków 2016
All rights reserved

Niniejszy utwór ani żaden jego fragment nie może być reprodukowany, przetwarzany i rozpowszechniany w jakikolwiek sposób za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych oraz nie może być przechowywany w żadnym systemie informatycznym bez uprzedniej pisemnej zgody Wydawcy.

Projekt współfinansowany w ramach programu Unii Europejskiej „Kreatywna Europa”.
Publikacja odzwierciedla jedynie poglądy autora i Komisja Europejska nie ponosi odpowiedzialności za umieszczone w niej treści.



Co-funded by the Creative
Europe Programme
of the European Union

ISBN 978-83-233-4049-2

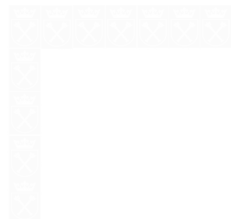
e-ISBN 978-83-233-9734-2



www.wuj.pl

Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego
Redakcja: ul. Michałowskiego 9/2, 31-126 Kraków
tel. 12-663-23-81, tel./fax 12-663-23-83
Dystrybucja: tel. 12-631-01-97, tel./fax 12-631-01-98
tel. kom. 506-006-674, e-mail: sprzedaz@wuj.pl
Konto: PEKAO SA, nr 80 1240 4722 1111 0000 4856 3325

Dla Bogdana, na którymkolwiek jest świecie



SŁOWO WSTĘPNE

Kilka lat przed rokiem 1900 dni były pojemne. Ludzie wibrowali jak druty telegraficzne, byli optymistami i wierzyli, jak nigdy wcześniej i nigdy później, w potęgę nauki, w postęp i w *przyszłość*. Dlatego też najważniejszym momentem stał się Nowy Rok: wiecznie odnawiany początek przyszłości.

Tekstura świata dopuszczała wszelką szaleńczą myśl i często szaleńcze myśli stawały się rzeczywistością.

Rumunia była w Europie, a jej stolica stała się kosmopolitycznym miastem, czyniącym ogromne wysiłki, aby się zorganizować i ucywilizować. W Bukareszcie, jak mówią wszystkie dokumenty epoki, *nigdy* nie można było się nudzić, ani w dzień, ani w nocy.

Wrażliwe natury obawiały się nieznanych niebezpieczeństw. Jeden mężczyzna walczył laską ze światłem elektrycznym. Pewna kobieta wzbraniała się stanowczo przed zrobieniem sobie zdjęcia, chociaż pozwoliła się namalować. Neurozy przemieniały się w poezję, a cierpienie i opium szły ręką w rękę. Gruźlica, syfilis, brud albo zabijały, albo pozostawiały rany na ciele i duszy. Zło nie zniknęło z tego świata, a jego ignorowanie było najlepszym sposobem na przygotowanie przyszłości. Byli ludzie, którzy z nim walczyli.

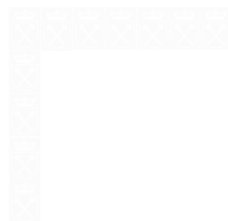
Dziennikarze odkryli swoją siłę i za słowo pisane można już było umrzeć. A słowo pisane już zaczęło ich zdradzać. Pieniądze były problemem, ale nie celem, i nie brakowało ludzi gotowych poświęcić wszystkie swoje pieniądze z miłości do pięknej idei. Dzieci wcześniej zaczynały naśladować dorosłych, dorośli zachowywali się niekiedy jak dzieci, a ciekawość życia była radością, której nie wyzbywano się w żadnym wieku.

Przed 1900 rokiem człowiek wierzył, że Bóg chce go uczynić nieśmiertelnym, w najbardziej dosłownym tego słowa znaczeniu. Wydawało się, że nie ma rzeczy niemożliwych i faktycznie nie było. Wszystkie utopie były dozwolone. A *zabawa z czasem* była zawsze najpiękniejszą z nich. Poza tym ludzie byli bardzo podobni pod każdym względem do swoich poprzedników i swoich następców.

Kilka lat przed 1900 rokiem dni były pojemne, a ludzie marzyli o naszym świecie.

Marzyli o nas.

Ponieważ to, czego chcesz, to życie, i to, i inne – chcesz wszystkie.
(Miguel de Unamuno, lipiec 1906)



PIĄTEK, 19 GRUDNIA

Dzień pełen zdarzeń

1

Lubię czytać w powozie. Mama beszta mnie za to, a papa, który nawet w towarzystwie członków rodziny nie zapomina o tym, że jest Panem Doktorem Leonem Margulisem, lekarzem medycyny pierwszego stopnia z gabinetem przy ulicy Świętego Jana nr 8, „na tyłach Teatru Narodowego”, mówi, że popsuję sobie oczy i że moje dzieci będą mieć słaby wzrok. Ale ja jestem uparta i zawsze zabieram książkę ze sobą. Oni, jak byli w moim wieku, może mieli więcej czasu na czytanie i wiele innych rzeczy, ale dzisiejsza młodzież musi dobrze rozporządzać swoim czasem. Zresztą byłam ciekawa, co nowego u Becky z *Vanity Fair*. Chociaż, jeśli mam być szczerą, to jestem podobna bardziej do tej głupiej Amelii i będę kochać przez całe życie jakiegoś drania. Dzisiaj nie miałam szczęścia do czytania. Po pierwsze zmarły mi dłonie. Po drugie, jak tylko wsiedliśmy do powozu, mama i papa zaczęli obrabiać, tak jak nasza kucharka sieka pietruszkę, tego nieznanomego, którego Petre znalazł rano w śniegu pod lasem Băneasa, na polu między jeziorami. Zabrali go do aresztu Prefektury Policji. Mama, która jest na bieżąco absolutnie ze wszystkim, mówi, że uciekł z domu wariatów, że na pewno dostał bzika od nauki. I zaraz spojrzała ostrzegawczo na mnie: „Ty też tak skończysz, jak będziesz tyle czytać!”. A później spojrzała na papę: „Chyba najwyższy czas, żeby Iulia pomyślała o odpowiednim kandydacie

na męża!”. Papa zbadał nieznanego na prośbę Costache, naszego przyjaciela z policji, i mówi, że to nie żaden włóczęga, mimo że jest niewyobrażalnie cudacznie ubrany. To na pewno klaun z cyrku. Poza tym czysty, żadnego defektu „fizjologicznego” oprócz tego, że faktycznie czasem mówi bardzo zagadkowo. Ale jeśli to wariat, to wykształcony, „bardzo ładnie się wysławia”. Jednak kiedy papa zapytał go, czy nie ma gruźlicy, spojrzał na niego szyderczo, wydawał się wyprowadzony z równowagi, i odpowiedział mu bezczelnie: „Bez nadziejny z pana aktor!”. Papa odrzekł poważnie, w swoim stylu: „Pan wybacz, ale nie jestem żadnym aktorem, tylko lekarzem!”. Dodał, że coś jakby mu zalegało w płucach i że jest bardzo błądy, ale żadnej poważnej choroby u niego nie znajduje. Wtedy mężczyzna uspokoił się i powiedział, że chce zapalić. Papa, który jest przeciwny temu zwyczajowi, podał mu jednak drobnego tytoniu i bibułkę ze stołu Costache, ale mówi, że aresztowany tylko rzucił mu dzikie spojrzenie i po prostu odwrócił się do niego plecami. Co za gbur! Zatrzymali mu walizkę do przeszukania, srebrne pudło, coś jakby sejf, co wskazywało na to, że to mógłby być jakiś fałszerz pieniędzy, ale wypuścili go już godzinę po aresztowaniu, po krótkim przesłuchaniu przeprowadzonym przez pana Costache. Kiedy zobaczył, że jest wolny, z miejsca dał nogę. Niemniej jednak śledzi go dyskretnie najlepszy woźnica policji.

– A ile ma lat? – zadała mama swoje ulubione pytanie.

– Podał czterdzieści trzy, czyli tylko cztery mniej niż ja, ale moim zdaniem kłamie, nie daję mu więcej niż trzydzieści–trzydzieści pięć. Mówi, że jest dziennikarzem i że tu się urodził. Dan Kretzu. Zdziwiło mnie, że jest całkiem ogolony, jak noszą się tylko aktorzy, gdy grają kobiety. Hmm...

I papa pogłodził cienką kądziel brody jasnej jak wąsy kolby kuku-rydzy, swoje największe życiowe utrapienie.

– Więcej dowiemy się jutro, na kolacji, bo zaprosiłem pana Costache.

Papa spostrzegł, że mam rozpaloną twarz i od razu położył mi rękę na czole, żeby sprawdzić, czy nie mam gorączki. Dla niego wszystko ma konkretne, cielesne podłoże, nie ma mowy o duszy.

Mama ciągle go jeszcze maglowała, ale ja, ponieważ było mi już ciepło w dłonie, wołałam zdjąć rękawiczkę i wrócić do Becky. Lubię u niej to, że dokładnie tak samo jak ja zna zarówno francuski, jak i angielski. Nie lubię u niej tego, że dokładnie tak samo jak ja ma *green eyes*. Wolałabym piwne oczy, takie jak ma Jacques, i blond włosy, takie jak ma Becky, ale widocznie dwadzieścia jeden lat temu nie było na stanie takiego modelu i muszę się zadowolić czarnymi. Dlaczego z tych samych rodziców, obojga o piwnych oczach, jedno dziecko wychodzi takie jak oni, a drugie z oczami zielonymi albo niebieskimi? Do Nowego Roku chcę skończyć książkę, więc spróbuję rzadziej pisać dziennik. Zostało jeszcze dwanaście dni i kilka godzin.

2

Bukareszteńscy mieli udany dzień. Wcześniej padał śnieg. Do końca roku zostało jeszcze dwanaście dni, do końca dnia – dwanaście godzin. Biel, rozciągająca się od jednego do drugiego krańca miasta, od pałacu Cotroceni po przedmieścia Obor i od cmentarza Șerban Vodă po klomby na Șosea, a potem jeszcze dalej, na cztery strony świata, topniała w południowym słońcu. Sople wyglądały jak posmarowane oliwą i tu i ówdzie zaczynały kapać na głowy przechodniów. Na ulicach panował spory gwar, tak jak zawsze na kilka dni przed Bożym Narodzeniem. Zapatrzywszy się w górę, aby go nie zmoczyło, Nicu wyłożył się jak długi na śniegu, zły tak jak wtedy, kiedy wstawał lewą nogą.

– No i znowu żeś się przewrócił! – powiedział głośno chłopak, otrzepując czerwoną czapkę gońca. *Tyle razy ci mówiłem, żebyś patrzył, jak idziesz*, burknął swoim cienkim głosem, choć tonem zdenerwowanego staruszka. Kiedy w zeszłym roku poszedł do szkoły, ten belferski ton przylgnął mu do języka i nie mógł się od niego uwolnić. Nawyk mówienia do siebie towarzyszył mu za to, odkąd pamiętał, ponieważ ku swojej wielkiej zgrzozie nie miał rodzeństwa, w przeciwieństwie do innych dzieci. Od biedy zadowoliliby się choćby jedną siostrą. Otrzepał śnieg z surduta, spojrział ze złością na lód, na którym